

Aimeiz

(historia nr 1.21 w serii książek Aimeiz, aimeiz.pl)

Niham

Niham wiercił się przez chwilę, by znaleźć idealnie wygodną pozycję w drewnianym, rozkładanym fotelu obitym delikatną lnianą tkaniną w kolorze kości słoniowej. Uwielbiał w nim odpoczywać i nieraz już tak zasypiał, słuchając muzyki, odchylony, wpatrzony w sufit, gdzie wygenerowane technologią okrętu wisiały ciemne, nocne chmury obrysowane poświatą schowanego za nimi księżycy.

Zgodnie z panującym na Aimeiz trendem jego pokój był wystylizowany minimalistycznie i eko. Drewniana podłoga, gładka i błyszcząca, ale pełna sęków i przebarwień, odbijała ciepłe płomyki rozpalonego w kącie kominka. Jasne bukowe meble, proste i ascetyczne szafki, zalany kameralnym światłem barek i białe marmurowe akcenty w małej otwartej kuchni kołysły naturalną kolorystyką ziemi, napełniały spokojem i zdradzały skrupulatnie przemyślaną architekturę.

To był zamysł Sesany, by połączyć wszelką użyteczność mieszkania w dużej otwartej przestrzeni. W ten sposób cały cykl dnia, jak w zegarze, zamykał się w pomieszczeniu kręgiem następujących po sobie potrzeb. Nie oznaczało to utraty przewagi niewielkich, zamkniętych kątów, które Niham mógł jednym gestem, a czasami myślą łatwo wygenerować dzięki płynnym ścianom okrętu.

Przyjemnie wtopiony w fotel, piętami zakopany w gęstym, białym dywanie słuchał właśnie „Requiem” Mozarta. Otaczały go generowane przez wszystkie powierzchnie dźwięki, tak czyste i żywe, jakby płynące z serca wprost do głowy. Często odtwarzał w swoim pokoju klasyczne, ocalone z Ziemi koncerty, specjalnie sformatowane pod możliwości Aimeiz. Generował wtedy uproszczoną rekreację filharmonii i w samotności wchłaniał wibracje przestrzeni, próbując je uchwycić jak wirujące w powietrzu liście czy pierwsze krople letniej burzy. Czasami nawet wyłączał sztuczną grawitację, odcinając zbędne zmysły, i unosił się w powietrzu podtrzymywany owacjami nieistniejącej widowni. Robił wszystko, by utonąć w muzyce, jak w rzece, skąpać w niej duszę, a w finalnym przypływie euforii popłynąć z jej prądem. By to osiągnąć, wykorzystywał całą dostępną mu technologię Aimeiz, która wciągała go w świat kojącej fikcji, jak narkotyk o wciąż niepoznanych właściwościach.

Statek regularnie odkrywał ludziom nowe zdolności, niemal popisując się przed mieszkańcami, dla których największy potencjał miała sztuka rekreacji, czyli zdolność modelowania brył pomieszczeń. Dzięki niej mogli stworzyć małe, odcięte, pobudzające koncentrację kąty lub ogromne otwarte przestrzenie dla nieograniczonych niczym rozgrywek drippleya. Materiał, z którego był zbudowany okręt, nazywany przez ludzi „rezlik” – od responsywności, ekspresywności i przejawianych właściwości cieczy – potrafił przyjmować dowolne kształty z ekstremalnym stopniem uszczegółowienia nawet najmniejszych elementów.

W ten sposób każdy mógł odbyć podróż przez historię Ziemi w najpiękniejszych jej miejscach, zachwycając się zachodem Słońca na brzegu XVI-wiecznej Barcelony czy podziwiając poranny zgiełk Nowego Jorku na początku XXI wieku. Takie wizualizacje wymagały ogromnego nakładu pracy, a technologia nie pozwalała ożywić jeszcze scenerii. Raz stworzona kreacja mogła być dowolnie odtwarzana z pamięci okrętu. Zatrzymane w kadrze obrazy zajmowały piętra począwszy od siedemdziesiątego piątego, pozwalając mieszkańcom odtwarzać igrzyska w Koloseum, pikniki na Polach Elizejskich czy inscenizacje wielkich bitew. Detal, z jakim Aimeiz potrafiła naśladować nawet sprężystość obicia foteli historycznych aut czy chropowatość i chłód kamienia w kolumnach katedry św. Eulalii, początkowo przerażał, a później uzależniał, chwytając ludzi w pułapkę fikcyjnego świata.

Naukowcy określili to mianem choroby Letina od imienia chłopca, który panicznie bał się opuścić wybudowaną przez siebie umysłem rekreację parku rozrywki. Jedynymi ograniczeniami inaczej nieodróżnialnego świata były istoty żywe, obiekty latające i te w samoczynnym ruchu. W zasadzie tylko odrywając jakiś imitowany przez okręt przedmiot od powierzchni, można było stwierdzić, że jest on efektem modelowania ścian. Dotknięty potrafił oddać energię w postaci ruchu, jak pchnięta po ziemi piłka, ale już podniesiony natychmiast zamieniał się w białą ciecz i łączył na powrót z ogółem masy Aimeiz.

To były tajemnice statku kosmicznego, których ludzie nawet nie próbowali zrozumieć. Tuż po wybuchu osiem lat temu, kiedy okręt rozpoczął niesamowity i kolorowy proces leczenia, nikt już nie wierzył, że zrozumie, w jaki sposób działa obca technologia. Jej niezwykłość daleko wykraczała poza możliwe pojęcie ludzkim umysłem, dlatego posiadaną szczątkową kontrolę mieszkańcy traktowali niczym dar dobrej woli sił rządzących światem.

Kolejna część mszy „Dies Irae” wbiła Nihama w fotel wodospadem lawinowo następujących po sobie nut. Wyniesioną do góry dłonią, wystawioną na sztorm rozpędzonych smyczków, emerytowany lider okrętu dyrygował orkiestrą i szybkimi szarpnięciami niewidzialnej batuty tworzył pęknięcia w płótnie przestrzeni, wlewając w swoją duszę więcej muzyki.

Obok, u jego stóp, leżał ten sam od siedmiu lat wierny owczarek niemiecki. Zwinięty w kłębek, z pyskiem wycelowanym w drzwi, wylegiwał się w specjalnie dla niego przygotowanym legowisku z prawdziwej, ale wyhodowanej aposterycznie bawełny. Dzięki tej zaczerpniętej jeszcze z Ziemi technologii i rozwiniętej już na pokładzie przez zespół badawczy byłego lidera pokoje mieszkańców Aimeiz wypełniały naturalne materiały, zarówno roślinne, jak i pochodzenia zwierzęcego.

Pośród wspianałych ręcznie wykonanych mebli stało wciąż to samo stare biurko, przy którym Niham pracował i odbierał tajne wiadomości. Poobijane, nieraz zmaltretowane gniewem właściciela nadal pełniło swoją funkcję, rażąc plastikową imitacją drewna i wyblakłym startym kolorem, przykrytym na szczęście mrokiem pokoju.

Mieszkanie rozświetlało tylko nocne, sztuczne na suficie niebo, kominek i wielki obraz Alp namalowany i animowany przez jednego z młodszych mieszkańców okrętu, który nigdy na Ziemi nie był. Śniegiem pokryte góry zajmowały prawie całą wolną od mebli ścianę, gdzie Niham często oglądał stare filmy, w tym ulubioną kosmiczną operę, i odtwarzał obrazy z przeszłości, próbując rozwijać zdolności mentalisty. Nie był w tym dobry i z reguły wszystkie jego próby kończyły się wyświetlaniem jakichś zdeformowanych koszmarów. Najwidoczniej złe wspomnienia i obawy niczym pleśń zanieczyszczały te najpiękniejsze kadry w pamięci. Raz tylko dał radę w całości odtworzyć rozkoszny wieczór lata temu spędzony z Sesaną, lecz nigdy nie zdołał powrócić do tej jednej, najwspanialszej chwili na Ziemi, która zdefiniowała całe jego życie. Lumen – na jej wspomnienie Niham zagryzł zęby, zaciskając je do granicy bólu.

Na ścianie, w rogu krajobrazu Alp, wyświetlało się podsumowanie debaty trwającego właśnie na Aimeiz Panelu. Od wczoraj trwała gorąca dyskusja, której wynikiem miała być decyzja społeczności o powrocie na Ziemię. Rozmowy na ten temat regularnie powracały już od dawna, ale dopiero odkrycie zespołu naukowego Stavrosa nadało im poważny wydźwięk.

Nowy lider naukowy, brat Sesany Kascadance, twierdził, że znalazł sposób na odwrócenie działania artefaktu, a tym samym na ocalenie umierającego Słońca. Choć była to tylko teoria, wystarczyła do wzbudzenia silnych emocji i wiary niektórych obywateli Aimeiz w ich zbawienną rolę w historii świata. Za powrotem i ratunkiem gwiazdy opowiadali się z reguły starsi mieszkańcy, zaś młodszy, zwłaszcza ci z pokolenia mentalistów, nie mieli już żadnych konotacji z pozostawioną na Ziemi ludzkością.

Debata trwała, a Niham spoglądał co chwilę na nowe zyskujące popularność wypowiedzi. Coraz większe i wyżej umieszczone na ścianie zdania, płynące z prądem do góry, nagle opadały, znikając w kręgach symbolizujących podział argumentów na te za i te przeciw. Na ich miejsce wchodziły kolejne i znów mknęły w górę, by zaraz ustąpić powierzchni następnym. Z prawej strony od tej gonitwy wyświetlały się ankiety, jakie każdy mieszkaniec mógł w czasie rzeczywistym wypełniać, decydując o wadze konkretnych słów, argumentów i tez. Głosować mogli wszyscy z każdego miejsca na okręcie, gdyż praktycznie cała powierzchnia Aimeiz była interaktywna i na jedno dotknięcie wyświetlała pożądane informacje. Ci, którzy lepiej opanowali sterowanie myślami, mogli oddawać swój głos, nawet nie mając bezpośredniego kontaktu ze statkiem. Niham do nich należał, ale nie miał dziś ochoty brać udziału w dyskusji.

Wpatrywał się bez specjalnej uwagi w przyjemnie migające ankiety, których zsumowane wyniki miały później pomóc mieszkańcom w podjęciu decyzji. Obecnie przemawiał Grom Wectoren, wciąż inteligentny i bystry profesor, którego Niham nie lubił za słabość i niezdecydowanie, ale szanował i dlatego kątem oka czytał tekst jego przemowy.

– Połowę życia spędziłem na Ziemi, a drugą tu, na okręcie, i nie ukrywam, że mam mieszane uczucia. Trudno mi powiedzieć, czy powrót będzie rozsądną decyzją, ale jedno wiem na pewno. To, że Aimeiz podróżuje w kosmosie w samotności już ponad trzydzieści okrętowych lat, nie ma znaczenia.

Nasze korzenie wciąż znajdują się na Ziemi, tam gdzie wielu z nas się urodziło, tam gdzie nasi rodzice żyli i ich rodzice też. Musimy zrozumieć, że dzieląca nas przestrzeń nie jest argumentem przeciw powrotowi. Ulan Ricson wylicza lata świetlne dzielące nas od Ziemi, ale czy to ważne? Myślę, że młodzi zapomnieli o tym, że nie tylko liczby się liczą, nie tylko czyste dane mają znaczenie. Uczucia, ponadczasowa prawda, bezwzględne wartości są równie ważne. One mówią mi, że jeśli jest szansa na ocalenie ludzkości, powinniśmy ją wykorzystać. Oczywiście, jak już zostało wspomniane, nie jest pewne, ani jak zareaguje okręt w okolicy Ziemi, ani też czy odkrycie zespołu Stavrosa zdoła cofnąć zmiany na Słońcu. Myślę, że od odpowiedzi na te dwa pytania powinna zależeć ostateczna decyzja o powrocie.

– Jak zwykle niezdecydowany – powiedział do siebie Niham, obserwując wyrastające z tekstu zdanie o uczuciach, prawdzie i wartościach, jakie system wyznaczył pod głosowanie. Jego uwagę zajęła na powrót muzyka, bo zbliżał się fragment „Lacrimosa” wzbudzający w nim zawsze mroczny i smutny, ale przyjemny ładunek emocjonalny.

W pewnym sensie uwielbiał dołączające utwory, bo tak jak niektórzy czerpią przyjemność z fizycznego bólu, którego odpowiednia intensywność potrafi doprowadzić do ekstazy, tak on topił umysł w błogiej burzy emocji. W jego przypadku jednak nie istniała granica zachwytu, bo dusza pozbawiona jest nerwów, a umysł zdołał przyjąć każdą dawkę bodźców. Gdy rozbrzmiały pierwsze dźwięki żałobnej pieśni, na starym jego biurku rozświetlił się panel, informując o nowej wiadomości. Odrobinę dłuższy błysk światła zdradził Nihamowi, że komunikacja dotarła z Ziemi.

Nagle uderzenie niewidzialnym lękiem, potęgowane przez muzykę, zamieniło wygodny fotel w rozżarzoną ogniem pałkę pełną przeszywających ciało ostrzy. Z naszpikowaną ołowiem piersią podniósł się z fotela, zakopując palce stóp w miękkim, pełnym frędzli, białym dywanie. Obszedł wtulonego w legowisko psa i ruszył niechętnie w stronę biurka, gdzie po weryfikacji przyłożonej do panelu dłoni zabłysła krótka wiadomość.

Silla Sere day nie żyje. Wiedziała wszystko.

Dźwięki żałobnej mszy i rozpaczliwy śpiew chóru wlały się w Nihama wodospadem, wypełniając mu płuca dławiącym zalem. Nie mógł nabrać powietrza, jak przykuty do dna oceanu, a jego serce stanęło na chwilę, dając krótki wgląd do świata zmarłych. Upadł na kolana, łapczywie napełniając pierś chłodem otrzymanych wieści. Oparty o biurko, bez sił, z widmem własnej zagłady w oczach, z dźwiękami muzyki białym smagającymi go po plecach zaciskał zęby, próbując zdławić pęczniejący w gardle krzyk wymieszanej rozpacz i gniewu.

Miał siedemdziesiąt trzy ziemskie lata, choć na okręcie teoretycznie spędził ich około dwudziestu mniej. Mimo to na jego głowie lśniły już siwe włosy, w żrenicach mgła skrywała sprzeczne kolory, a serce szarpało cierpieniem po tych nielicznych utraconych, na których mu kiedyś zależało. Stukając głową o biurko, wydawał z siebie nieludzkie pojękiwania, przeplatane szumem powietrza agresywnie wdychanego przez wciąż zaciśniętą szczękę.

Choć próbował, nie potrafił wycisnąć z oczu ani jednej łzy. Nie miał ich już, nie istniały w nim dla żadnej tragedii, niczyjej śmierci. Był bezduszny, bezbronny i przerażony swoim upodleniem, a w przeprawie przez kolejne konsekwencje niegdyś realizowanego, dziś jednak upadłego planu wspierał go tylko wierny pies, który nawet współczującym spojrzeniem nie mógł przerwać agonii swojego pana.

Niham nie posiadał już żadnej władzy ani wpływów, a ostatnie lata spędził, próbując przegryźć i połknąć własną bezsilność. Pewnie kroczył ku zniszczeniu, pozwalając przyjemnemu odrętwieniu regularnie truć wszelkie pragnienia i pozytywne emocje. Tylko Sesana go jeszcze odwiedzała i wyciągała do świata żywych. Na nic jednak, bo wciąż zgodnie z planem zanikał zarówno w pamięci mieszkańców, jak i ciałem. Coraz chudszy, niższy, kurczył się i przestawał pokazywać publicznie. Czekał na koniec i swoją karę za zniszczenie świata, którego ani odkrycie Stavrosa, ani sama Aimeiz nie byłaby w stanie już uratować. Dlatego w dniu głosowania z dumą zamierzał zaznaczyć opcję przeciwną powrotowi okrętu na zagładę spowitą planetę.

Powoli, podpierając się biurkiem, Niham wstał i zakrył twarz dłońmi. Jego pies podbiegł, niepewny następnych wydarzeń, i ze skrzywioną głową patrzył na swojego pana. Gniew, jak fale oceanu, zalewał duszę Nihama i za chwilę odpuszczał, doskonale odbijając zmienne natężenie dźwięków kolejnej części „Requiem”. Każdy następny przypływ gorczy napierał na granicę

wytrzymałości, za którą kipiał już tylko szal fatalnej niemocy. W końcu coś w nim pękło i podniesiona w górę dłoń spadła zaciśniętą pięścią na biurko, niszcząc ekran i krusząc kości na wzór rozbitej psychiki Nihama.

Zanim ból go obezwładnił, opadł z powrotem na fotel z uszkodzonym przedramieniem złożonym na piersi. W dreszczach, szargany katogą i z wykręconą grymasem szaleństwa twarzą, powrócił do słuchania muzyki, która tak piękna i spokojna mogłaby wyznaczyć Nihamowi koniec życia, gdyby tylko miał odrobinę szczęścia, gdyby tylko okręt wysłuchał jego próśb.

Hadrian

– Miriam! – zawołał Hadrian. – Uważaj, bo wypadniesz.

– Chcę zobaczyć rybki – odpowiedziała dziewczynka i z niezwykłą uporczywością próbowała dosięgnąć metalowej poręczy odgradzającej pokład jachtu.

– Tak ich nie zobaczysz. Jak coś złowię, to ci pokażę, dobrze? Nie skacz tak, bo spłoszysz wszystkie i nic dziś nie schwytamy.

– Ale ja chcę zobaczyć rybki – powtórzyła żądanie Miriam, upewniwszy się, że ojciec dostrzegł jej obrażoną, smutną minę, i usiadła na rozłożonym kocu z zabawkami. Wśród nich był mały basen z wodą, gdzie kolorowe plastikowe rybki dziewczynka mogła łowić różową wędką. Postukała nią trochę jak młotkiem o podłogę w akcie niewinnego buntu i wróciła do zabawy lalkami.

Hadrian był pierwszym społecznym liderem Aimeiz, który urodził się już na pokładzie statku. Miał dwadzieścia siedem lat, nigdy nie widział Ziemi i nie przejawiał zdolności mentalistycznych. Za to zbierał doskonałe opinie i posiadał poparcie mieszkańców.

Po utracie w niewyjaśnionych okolicznościach żony każdą wolną chwilę spędzał z córką. Dziś zamierzał zabrać ją do zoo, na pokaz nowej rekreacji świata „Alicji z Krainy Czarów” i jeśli zdążą, do salonu gier. Poranek mogli jednak wykorzystać na zarezerwowanym jachcie, łowiąc ryby i ciesząc się prawdziwą bryzą jeziora.

Projekt zapewnienia basenu różnymi sprowadzonymi z Ziemi gatunkami słodkowodnych stworzeń oficjalnie dobiegł końca trzy lata temu. Zachowanie stabilnego ekosystemu było jednak nie lada wyzwaniem dla hydrobiologów. Wciąż brakowało ogniów w łańcuchu pokarmowym, a szczególne problemy stwarzała mikrofauna, bez której delikatny balans rozsypywał się, cofając prace o wiele lat. Dopiero gdy do jeziora wprowadzono znalezione na planecie U-77 formy „inteligentnych glonów”, jak je potocznie określano, ekosystem zaczął funkcjonować i dziś mieszkańcy mogli swobodnie łowić ryby pod wykreowanym przez Aimeiz niebem, gdzie kumulowały się prawdziwe, wolno krążące przy suficie chmury. Cyrkulacja wody, ze wszystkimi jej właściwościami atmosferycznymi, była kolejną z licznych zagadek Aimeiz wciągniętych przez mieszkańców na listę nierozwiązywalnych.

Hadrian miał tylko jeden dzień na odpoczynek. Na okręcie przeprowadzano właśnie sporą restrukturyzację bloków mieszkalnych, odbywały się również igrzyska sportowe, którym oficjalnie przewodniczył. Jego zadania i możliwości, jako najważniejszej osoby na Aimeiz, znacząco odbiegały od tego, co musieli robić poprzedni piastujący tę funkcję liderzy. Hadrian sprawował władzę nad arsenałem okrętu i strażą społeczną. Posiadał też pakiet praw karnych i możliwość podejmowania samodzielnie dowolnych decyzji w sytuacjach kryzysowych. Ponadto do dyspozycji miał Radę Pięciu złożoną z doradców w zakresie bezpieczeństwa, jakości życia, eksploracji kosmosu, edukacji i kultury. Pełnił też funkcję nadzorczą i dbał o prawidłowe działanie gabinetu złożonego z około pięćdziesięciu osób odpowiedzialnych za wdrażanie ustaw Panelu, czyli rozbudowanego systemu dyskusji mieszkańców. Debaty odbywały się regularnie, dotyczyły każdej sfery społecznej, a udział w nich brali wszyscy od czternastego roku życia. Samostanowienie mieszkańców było kulturowo wyuczoną częścią codzienności, obowiązkiem i z definicji ciężką pracą, która w zamian pozwalała stworzyć prawdziwy ustrój demokratyczny, gdzie realną władzę przy każdej decyzji miała społeczność.

Hadrian, jako oddany sługa narodu Aimeiz, pełniący jedynie funkcję kontrolną, nie mógł uczestniczyć w Panelach, a nawet głosować. Tak stanowiło prawo, dlatego dziś tylko przysłuchiwał się debacie w sprawie powrotu na Ziemię, dzieląc uwagę między spontaniczny i słodki śpiew córki a rozbrzmiewającą mu w głowie wypowiedź Kaligii Waniskis, byłej liderki okrętu, wciąż aktywnej politycznie, ale już bez takiej władzy jak kiedyś.

– Jestem z pokolenia osób, które urodziły się na Ziemi – opowiadała kobieta – ale w przeciwieństwie do tych, którzy czują się z nią wciąż związani, nie chciałabym tam wracać. Przecież nie po to z niej uciekałam, by teraz na nowo próbować odbudować sobie tam życie. Widziałam jak planeta umiera, widziałam, co Anders z nią zrobił, i wciąż docierają do mnie kolejne okropne opisy tej nieludzkiej zagłady. Myślę, że już nic nie możemy dla Ziemi zrobić. Dostaliśmy tę wspaniałą okazję, by eksplorować kosmos i jednocześnie budować idealną społeczność. Nie ma sensu jej marnować, by ratować coś, co już dawno zostało skazane na porażkę. Odkrycie lidera naukowego to tylko teoria, a ja dla teorii nie mam zamiaru ryzykować tego, co zdołaliśmy przez ostatnie lata zbudować, zwłaszcza że Aimeiz wciąż nas zaskakuje i nie wiadomo czy nie uzna budowanej przez ludzi Floty za wroga. Byłoby zabawne wrócić na Ziemię, by ją ratować, ale w zamian zetrzeć w pył tworzone przez kilkadziesiąt lat statki, będące jedyną szansą ratunku dla tych biednych ludzi. Zastanówmy się nad sensem takiej decyzji, bo...

Hadrian uciął jej wypowiedź. Miał dość nieprzyjemnego głosu, który brzmiał, jakby kobieta skrywała okropne roszczenia i nienawiść do wszelkiej opozycji. Poza tym szczerze nie lubił tego typu politycznych dyskusji i cieszył się, że jako lider nie musi brać w nich udziału. Był idealistą, ale jednocześnie patrzył na świat przez pryzmat logiki i realnego celu. Miał też świadomość, że żadna forma administracji nie uniknie brukowej gry o władzę, przepychanek i kłamstwa na usługach egocentrycznych lichwiarzy. Żywił jednak nadzieję, że jego przewodnictwo będzie czyste, sprawiedliwe, silne i przede wszystkim skuteczne.

Dziś jednak nie musiał o tym myśleć i mógł w całości poświęcić się Miriam, u której zaobserwował już pierwsze sygnały mentalizmu. Jej zdolność była wyjątkowa, bo choć wciąż w załączku przejawiała ogromny potencjał. Dziewczynka miała coś, co zespół badaczy określił jako „perspektywę absolutu”. Widziała wszystko na pokładzie, tak jakby potrafiła podróżować świadomością po całym okręcie.

Dla niej Aimeiz stanowiła wielki domek dla lalek, do którego mogła zaglądać z każdej strony. Choć nie czuła ciężaru swoich umiejętności, Hadrianowi przysparzała mnóstwo związanych z tym problemów. Pytania o rzeczy dziejące się na drugim końcu statku i przedmioty schowane głęboko w szufladach obcych ludzi, tak naturalne dla niej, wzbudzały w nim obawy o przyszłość córki. Nie potrafił na nie odpowiadać i podobnie jak rzesza naukowców nie rozumiał tego zjawiska wywoływanego nadmiernym kontaktem z rezlikiem. Nie miał jednak na niego wpływu. Ewolucja ludzi, którzy coraz wyraźniej jednoczyli się ze statkiem, przyspieszała, budząc wśród mieszkańców realny niepokój o utratę mentalnej suwerenności. Lęków tych nie podzielało młodsze pokolenie. Dla osób urodzonych na pokładzie zdolności bezdotykowego manipulowania formą i wyglądem ścian, a także fenomen zjednoczenia jaźni – pozwalający współdzielić emocje i ogólne pragnienia – były czymś naturalnym.

Hadrian jednak martwił się o córkę nie tylko dlatego, że przejawiała zdolności nadprzyrodzone. Bardziej niepokoił go efekt naoczego świadectwa śmierci jej matki. Miesiąc temu Elia zniknęła w niewyjaśnionych okolicznościach, nagle i bez śladu, a jedyną z tego wydarzenia relację Miriam złożyła jeszcze tego samego dnia, mówiąc bez zrozumienia swoich słów: Mama weszła w ścianę i rozlała się po całym pokoju. Później dziewczynka zamilkła i już nigdy do tematu nie wróciła, do tej pory nie zdradzając żadnych objawów związanych z tą traumą. To szczególnie martwiło Hadriana, dlatego dziś zamierzał porozmawiać o tym z córką. Przedtem jednak czekała ich wycieczka do zoo, rekreacja „Alicji w Krainie Czarów” i salon gier, które miały ich oboje przygotować do tej konfrontacji.

– Rybka podpłynęła – powiedziała Miriam wpatrzona w zabawkowy basenik. Chwilę później kołowrotek w wędce Hadriana zakręcił się, a wędzisko wygięło. Wreszcie coś złowili.

Sesana i Stavros

Rodzeństwo spotkało się jak co tydzień w restauracji Korowody na dwudziestym siódmym piętrze. To było ich ulubione miejsce ze względu na wyciszony klimat i wyodrębnione stoliki zapewniające spokojną rozmowę z dala od wścibskich spojrzeń. Usiedli w kącie sali schowani za lasem klasycznie zdobionych, gęsto rozstawionych kolumn, które budowały wrażenie prywatności, nie negując idei publicznie dostępnej przestrzeni.

Jak zwykle Stavros zajął miejsce naprzeciw Sesany, odtwarzając wytarty latami schemat powitania i wymiany uśmiechów, u niego wymuszonych, u niej pełnych współczucia. Tu, w lekko zaciemnionym kącie, przy stoliku ze zautomatyzowaną dystrybucją potraw, mogli przynajmniej naśladować normalną rozmowę. W ten sposób odbywali swój rodzinny rytuał, cyklicznie powtarzany głównie dzięki uporczywości Sesany. Oboje rozumieli, że są dla siebie jedynymi bliskimi, obojgu też doskwierała samotność, którą wnikliwie maskowali: on przesadnie obojętną ignorancją, ona potrzebą altruizmu.

Po wydarzeniach na Ziemi żadne z nich nie stworzyło trwałego związku, poza przelotnymi romansami zakończonymi zawsze tym samym rozczarowaniem. Ich pokręcone historie, naznaczone okrucieństwem i podszyte strasznymi tajemnicami, wystarczyły, by zerwali i zawsze już unikali wszelkich szczerych i stałych więzów emocjonalnych. Choć urodzili się w odstępnie pięciu lat, oboje przeżyli ich blisko pięćdziesiąt, teraz skupieni już tylko na swoich ścieżkach kariery, on lidera naukowego, ona architekta przestrzeni. Gdyby nie zamknięta konstrukcja okrętu, prawdopodobnie już dawno losy rozrzuciłyby ich po świecie i zgubiły w gąszczu własnych koszmarów.

Stavros pożerał krwistego steka, trochę na złość siostrze, która nadal była wegetarianką, a Sesana delectowała się sałatką, zerkając co chwilę na zmęczoną, wiecznie rozczarowaną twarz brata. Zjedli w ciszy, jak zawsze, i zamówili kawę będącą dla niego zwykłym podsumowaniem posiłku, dla niej podstawą udanego popołudnia.

– W Palisandrach jednak robią lepsze latte – stwierdziła Sesana, wybierając z wysokiej szklanki mleczną piankę. Miała świadomość, że łamie pewną tradycję klasycznego posiłku, ale po latach spędzonych na Ziemi w ekstremalnym ubóstwie takie drobne obyczaje przestały mieć dla niej znaczenie. Długą łyżką wymieszała mleko, zwinnie operując swoją biomechaniczną prawą ręką, którą szczyliła się jak dziełem sztuki. Straciła całą kończynę od barku w dół, zastępując ją białą, w pełni zintegrowaną z ciałem protezą. Wykonana z podobnego materiału, co okręt, wyglądała jak powłoka z siatki, zupełnie w środku pusta. Nie ustępowała jednak sprawnością naturalnej ręce. Tak samo giętka, sztywna, idealnie odwzorowywała ruchy stawów, a nawet przekazywała do mózgu bodźce dotyku, zmiany temperatury i inne. Do tego pokrywające ją wyłobienia układały się w szczegółowe i intrygujące wzornictwo, które Sesana mogła bez problemu zmieniać.

– Ja tam nie widzę różnicy. Kawa to kawa – rzucił Stavros i spojrzał w głąb sali, gdzie grupka ludzi szukała dla siebie miejsca.

– Bo nie pijesz jej dla smaku. Cała tajemnica kryje się w sposobie opiekania ziaren, mielenia, a potem parzenia. Liczy się też...

– Musimy rozmawiać o kawie?

– Nie musimy. Nic nie musimy.

– Dobrze – złośliwie przytaknął Stavros, przyglądając się gościom restauracji każdemu z osobna. Ich usta bez przerwy pracowały, w jego mniemaniu mnożąc setki zbędnych historii. Chętnie zabroniłby takiego marnotrawstwa energii, gdyby tylko mógł.

– Rozmawiałeś z Brit? – zapytała Sesana, próbując zwrócić jego uwagę.

– Z kim?

– Z Brit, tą dziewczyną, o której ci mówiłam, że chce dołączyć do twojego zespołu.

– Jeszcze nie. Nie mam teraz czasu. Trwa Panel i wszyscy nagle chcą wiedzieć wszystko o artefakcie. A to była córka tego robota, co zamieszki chciał wszczynąć ostatnio?

– Nie robota, tylko pracownika zoo, i tak, to jego córka. Czy to ma znaczenie? Dziewczyna jest niezwykle bystra i ma mnóstwo pomysłów.

– Ale sieje bzdurne teorie swojej robolskiej rodziny.

– To nie są roboty – próbowała po raz setny wyjaśnić Sesana – tylko Amadyści. Mają swoje prace i kulturę inną niż nasza. To normalne.

– Mogą się nazywać, jak chcą. To dalej roboty, przynajmniej mentalnie. Ja nie wiem, jak oni to robią, że pomimo doskonałych warunków na okręcie wciąż narzekają na swój los. Nie rozumiem tego. Jakby posiedzieli chwilę na Ziemi, to przeszły by im chęci do protestowania.

Sesana westchnęła na znak, że nie ma zamiaru znów prowadzić dyskusji, która w gruncie rzeczy zawsze była tylko okazją dla Stavrosa do obrażania grupy Amadystów.

– Porozmawiaj z nią później, dobrze? Ona naprawdę się do tego nadaje – grzecznie prosiła.

– A chociaż jest ładna? – zapytał Stavros i poczekał chwilę na odpowiedź. – Dobra, porozmawiam – dodał bez przekonania, myślami biegając już po innych, ważnych dla siebie sprawach. Znów

nieświadomie zaczął obgryzać paznokcie, wykrzywiając głowę na wszystkie strony, by znaleźć idealny kąt dla każdego palca.

Sesana starała się nie zwracać na to uwagi. Wiedziała, że to manifestacja wciąż rozdrapanych ran i traktowała tę słabość jak barometr jego stanu psychicznego. Niestety od ich powrotu na okręt minęło prawie osiem lat, a Stavros wiecznie miał poszarpane i do krwi wyjedzone paznokcie.

– Mógłbyś spróbować przestać – zasugerowała.

– Co?

– Obgryzać je tak, to niezdrowo.

– Niezdrowo? – zdziwił się Stavros i zaśmiał szyderczo, patrząc na swoje poniszczone palce.

– Wiesz, o czym mówię.

– Obgryzam, bo lubię, wolę tak niż nożyczkami. Nie wiem, jak inni mogą skracać sobie paznokcie metalowym przedmiotem. Weźmiesz odrobinę zły kąt i przycinasz się do krwi.

Sesana odpuściła. Nie było sensu tłumaczyć mu prawdziwego znaczenia tej czynności. Jego psychika tak głęboko zakopała rany, że nawet nie musiał okłamywać siostry. On po prostu wierzył, że robi to z wygody.

– Skończyłaś już przemeblowanie u mnie? Chciałbym wrócić wreszcie do siebie – zmienił temat, jak zwykle ignorując poważną i wiecznie zmartwioną minę siostry.

– Jutro – odpowiedziała Sesana, porzucając chęć walki z rodzinnymi problemami. Mieli ich sporo, a ilekroć próbowała je poruszyć, brat wpadał w szał. Nie była dziś gotowa na kolejną kłótnię, więc jak to często robiła, płynęła z prądem jego nastroju. – Mam trochę problemów z formowaniem łuków przy suficie. Chcę zrobić delikatne zdobienia, tak jak ci mówiłam, motywy głównie roślinne, ale strasznie dużo to czasu zajmuje. Myślałam, żeby poprosić jakiegoś mentalistę o pomoc.

– Po co ja się na to zgadzałem – narzekał Stavros, stukając uchwyt białej filiżanki stojącej na czarnym elastycznym blacie stołu, który inteligentnie przyklejał do siebie naczynia, gdy istniało ryzyko ich wywrócenia.

– Znowu zaczynasz? Jutro skończę i będziesz mógł siedzieć w swoim mieszkaniu, żeby robić to, co tam normalnie robisz.

– Robię to, co robi lider naukowy okrętu. No wiesz, teoretyzuję i marnuję wysiłek całej grupy badaczy.

– Nadal nie rozumiem, jak mogli cię wybrać na lidera.

– Zazdrościsz mi?

– Raczej współczuję. Cały dzień musisz udawać porządnego faceta, odpowiedzialnego i z poczuciem obowiązku. Jak ty to robisz? – próbowała dogryzać mu Sesana.

– Dokładnie tak jak ty. Nakładam uśmiech, grzecznie kiwam głową, jak do mnie mówią, i skupiam się na swoich sprawach – odpierał atak Stavros, podsycając grę na kąśliwości. Lubił to, i gdy już zaczynał, nigdy nie potrafił odpuścić, dlatego zawsze ich spotkania kończyły się spięciem i nieprzyjemną ciszą. Jednak nie miał zwyczaju wyciągać z tego wniosków i z każdym spotkaniem na nowo wpadał w tunel złośliwych docinek, które Sesana mu raz po raz wybaczała, bo była jego teoretycznie starszą siostrą i z poczucia obowiązku musiała. Nie pojmował, że w ten sposób rani ją podwójnie. Z uśmiechem, jaki nie pasował do tytułu lidera, wyczekiwał odpowiedzi, a gdy jej nie otrzymał, rozumiał, że znów posunął się za daleko. – Zdecydowałaś już, jak zagłosujesz? – zapytał, próbując ponownie zmienić temat.

– Nie mam jeszcze zdania. Osobiście nie chcę wracać na Ziemię, zresztą wiesz, ale muszę posiedzieć wieczorem i poczytać ankiety. Zobaczą, co inni myślą. A ty dalej chcesz wracać?

– Tak. Jest szansa zatrzymać proces niszczenia planety, więc warto spróbować – mówił już zupełnie poważnie Stavros, nie przekonując jednak siostry, która zmrużyła podejrzliwie oczy, dając mu znać, że nie wierzy w jego szczere naukowe intencje.

– Jesteś pewny, że chcesz ratować ludzkość? – zapytała, jakby podejrzewała go o snucie złowrogich planów. – A może wcale nie chodzi o ratunek dla Ziemi, tylko o coś innego, dużo banalniejszego?

– O czym ty mówisz?

– Znam cię dość długo i wiem, że nie robisz tego z czystej naukowej ciekawości czy z dobrego serca. Chcesz zemsty, prawda? Choć może raczej zależy ci, żeby poniżyć ludzi na Ziemi, pokazać im, że uratować ich może tylko ktoś, kogo chcieli zabić.

– Może – odpowiedział Stavros, wzduszając ramionami. – Może chcę zemsty, może chcę ratować to, co tam jeszcze jest do uratowania. Ważne, żebyś zagłosowała za.

– Nie wiem, zobaczę – odparła Sesana z podobną ignorancją, na którą jej brat zareagował uśmiechem głodującego na widok jedzenia.

Stavros wyczuł krew i jak drapieżnik poczuł instynktowną potrzebę pogoni za ofiarą.

– A co tobą kieruje, że tak się przeciwstawiasz? Strach czy może obrzydliwe wspomnienia?

– Przestań.

– Boisz się, że spotkasz na Ziemi kogoś, kto wie, co tam robiłaś? – Stavros wbijał zęby w ciało swej zdobyczy.

– Nie wiem, po co to robisz – odmawiała mu odpowiedzi Sesana, odwracając wzrok tak, jak zawsze to robiła, gdy poruszał temat ich wspólnej tułaczki po planecie. Była zła na niego, że wykorzystuje tę mroczną tajemnicę, ale siebie bardziej obwiniła za to, że jest zbyt słaba, by mu się przeciwstawić. Spojrzała na dno pustej szklanki z nadzieją, że znajdzie w niej jeszcze łyk kawy.

– Patrz, co ten baran Ricson powiedział – Stavros znów przeskakiwał między tematami, wskazując palcem wyświetlone w rogu stołu okno debaty, na które od czasu do czasu oboje zerkali. – *Młoda generacja nie jest i nie będzie nigdy kompatybilna z ludźmi na Ziemi. Spotkanie ich może mieć dla nas katastrofalne efekty* – przeczytał głośno, szydząc przesadnie wzniosłym tonem z wypowiedzi chłopaka. Nie krył bezwzględnej awersji do młodego mentalisty. – Co za dzieciak, urodził się na statku, a nie na Ziemi i wydaje mu się, że jest lepszy.

– Mówi, co myśli, a to, że się od nas różni, jest faktem. Widziałeś, jakie ma zdolności mentalne.

– Mutacja wywołana długim przebywaniem w zamknięciu – zażartował Stavros, naśladując wypowiedź nadętego naukowca. – Tak sobie myślę, że jeśli młodzi zagłosują przeciw, starsi za, to pewnie uruchomi się algorytm wyrównujący i głosy takich osób jak ty będą dużo ważniejsze.

– To zależy, jak zagłosuję. Mówiłam ci już, że jeszcze nie wiem – denerwowała się naciskami Sesana.

– Zagłosujesz za, a wiesz dlaczego? – tłumaczył jej Stavros, nagle mocno pobudzony. – Bo jesteś ciekawa tego, co dzieje się na Ziemi i tak samo jak ja chcesz pokazać im, że nie złamali cię, że nadal żyjesz, masz się dobrze i teraz przybywasz im łaskawie na ratunek.

– Czyli miałam rację. Chcesz im pokazać, kto tu rządzi. Cały twój projekt to jedna wielka deklaracja dominacji. Nic się nie zmieniłeś – stwierdziła Sesana, tym razem już nie złośliwie, a szczerze i krytycznie wytykając mu wady.

– Ty też – odparował Stavros. – Dalej udajesz miłą i radosną, a w środku zżera cię strach.

– Nie po to tu dzisiaj przysłam.

– Znowu uciekasz?

– Idę. Może następnym razem będziesz miłszy – wyraziła płonną nadzieję Sesana i swą sztuczną, białą, specjalnie odkrytą ręką odsunęła szklankę na środek stołu, gdzie automat chował brudne naczynia.

– Pamiętaj, jesteśmy za powrotem – przypomniał Stavros, uporczywością wzbudzając w niej rozczarowanie.

Sesana wstała od stołu, kiwając z niedowierzania głową.

– Będziesz dzisiaj na urodzinach? – zapytała, przeźroczyście dłonią poprawiając długi biały rękaw zakrywający jej zdrową kończynę.

– Czyich?

– Już zapomniałaś? Ilia kończy osiemdziesiąt lat.

– A kiedy się urodził?

– Przecież wiesz, że to nie ma znaczenia.

– W 2055 roku, o ile pamiętam. Czyli według ziemskiego czasu kończy nie osiemdziesiąt, a dokładnie sto. To nawet bardziej okrągła rocznica – zauważył Stavros upojony odkryciem i własną złośliwością.

– Ale na Aimeiz przeżył osiemdziesiąt. Dobrze wiesz, jakie zamieszanie jest u nas z czasem, i nie zachowuj się jak dziecko. Przyjdź, przecież on ci pomagał w rehabilitacji, już zapomniałaś? – zapytała Sesana, z trudem hamując irytację zachowaniem brata. Kochała go, ale nie potrafiła wytrzymać z nim dłużej niż kilkadziesiąt minut w jednym pomieszczeniu.

– Nie zapomniałem – odparł z kamienną twarzą Stavros, jakby nie mógł wybaczyć sobie tych kilkunastu tygodni, gdy był ubezwłasnowolniony i zdany na pomoc obcych ludzi. – Może przyjdę – dodał w geście pojednania na odchodne.

Sesana znów pokiwała głową, rozczarowana i zmartwiona nurkującym we własną arogancję, niczym w czarną dziurę, bratem. Była gotowa zakończyć spotkanie wymuszonym pocałunkiem w policzek, którego on nie znosił, ale potrzebował jak wody na pustyni, gdy poczuła, że coś ociera się o jej nogę. To pies, bernardyn o czarnej, długiej sierści imieniem Bert, merdał przy niej ogonem. Sesana uradowana i zaskoczona jego nagłym przybyciem kucnęła i wygłaskała puszystego przyjaciela. Uwielbiała tego zwierzaka i wszystkie inne stworzenia na statku, które można było spotkać na każdym kroku.

– Nie powinni do restauracji wpuszczać zwierząt – zrzędził Stavros, zazdrośnie wpatrzony w ich pieszczoty.

Aimeiz

Z definicji doskonałość jest bytem wiecznym, wplecionym nicią marzeń w architekturę wszelkiego istnienia. Nauczeni, że nie istnieje, przekonani, że tkwi zamknięta w nieosiągalnej sprzeczności, której urzeczywistniony konstrukt skruszyłby podstawy świata, wciąż jej wyczekujemy pewni, że gdy stanie u naszych drzwi, rozpoznamy ją jak przyjaciela po długiej podróży.

– Dzień dobry – powiedziała w progu jego mieszkania, wpuszczając do środka ciepłe światło korytarza.

– Kim jesteś? – zapytał Niham sparaliżowany bólem złamanej ręki i oślepiiony bijącym od niej blaskiem. W tle rozbrzmiewały długie, niczym oddechy umierającego człowieka, frazy III symfonii Góreckiego, a pod sufitem wciąż wolno sunęły wypchane smołą ociążałe chmury niekończącej się nocy. – Kim jesteś? – powtórzył wpatrzony w jej długą do ziemi, barwami przesiąkniętą sukienkę.

Z rozkosznie szczerym uśmiechem, dziewczyna jak ptak wleciała do środka, przynosząc radość, miłość, nadzieję: wartości tak kruche, puste i wyblakłe w słowach, lecz przy niej lśniąca namacalną siłą.

– Strasznie tu ciemno i nieprzyjemnie – powiedziała, już samym głosem pokonując stłoczony w mieszkaniu mrok. Podeszła do czarnej ściany, na której Niham wyświetlił obraz swojej spalonej duszy, i otworzyła wielkie, arkadą zakończone okno, którego przed chwilą tam nie było. Z potęgą wodospadu światło wlało się skupionym strumieniem do środka, wypełniając pokój po brzegi pięknym letnim dniem.

Nie byli już na okręcie, w otchłani nieskończonego kosmosu, ale na wsi, w jakimś domku pośród złotych pól skąpanych promieniami, u podnóża śniegiem zroszonych gór. Żałobna muzyka ustała, zastąpił ją dobiegający z dworu śpiew ptaków. Teraz dziewczyna pasowała idealnie. Narodzona w kołysce wszechświata, spleciona z wiatru gwiazd przez samego mistrza czasu i reguła istnienia, otulona suknią z błędnych w jej blasku kwiatów, skąpiana w fontannie wiecznej młodości, krocząc z gracją baletnicy po sprężystych strunach dźwięcznej poezji życia, zniewalała pięknem niezemskiej istoty. Włosy miała długie, niczym morski horyzont, lekko falami kręcone, jasnobrązowe, zagarnięte za uszami, jak u grzecznej uczennicy w szkole. Jej oczy, błękitne planety, Neptuna witrażem mogłyby zostać nazwane, a drobne usta, czerwienią zalane, aranżowały marzenia nawet najmniejszym uśmiechu drganiem.

– Proszę, powiedz mi, kim jesteś – błagał Niham, próbując podnieść się z fotela, by stanąć na wprost tej ze snów przelanej postaci. Przeszywający ból złamanej ręki powalił go i obezwładnił, okrutnie krusząc tę piękną chwilę.

– No tak, powinnam się przedstawić – rzeczowo zauważyła dziewczyna, jak gdyby faktycznie o tym zapomniała i było jej teraz z tego powodu niezwykle przykro. – Chociaż, czy ja wiem – zmieniła zdanie, niczym dziecko niepewna, czy chce zjeść ciastko, czy cukierka, a może oba naraz. – Przecież dobrze mnie znasz – powiedziała, chwytając krańce swojej sukienki, unosząc je na boki i prezentując delikatny ukłon z wysuniętą do przodu stopą, jak księżniczka na wielkim balu lub tancerka przed spektaklem. – Czy pozwolisz na drobną zmianę muzyki? – zapytała i zanim dostała jakąkolwiek odpowiedź, pomieszczenie wypełniły dźwięki dobrze znanego Nihamowi utworu. Uwielbiał go, choć już dawno go nie słyszał. To był „El Tango De Roxanne” z zapomnianego przez świat musicalu.

– Czy nie będzie dla ciebie problemem, jeśli zatańczę? Nigdy tego nie robiłam, a zawsze o tym marzyłam – z kurtuazją poprosiła dziewczyna i podniosła ręce do góry.

Delikatnie kołysała się w odpowiedzi na ciche, rytmicznie spadające z nieba jak krople deszczu szarpnięcia strun gitary, aż jej sukienka spłynęła krwistą czerwienią, a ona sama została porwana agresywnymi pociągnięciami smyczków. Zatracona w temperamentnym tańcu, który spowijał ją ognistym żywiołem, wędrowała przez utwór w najpiękniejszym tangu, jakiego wszechświat mógł doświadczyć. Rozżarzona do czerwoności suknia podążała za pikantnym krokiem swojej pani, a karmazynowe iskry skrzące z tkaniny goniły za przebrzmiałymi nutami.

Przez chwilę dziewczyna tańczyła z niewidzialnym partnerem, a zdrada i niewinne zakochanie przelewały się przez nią, niczym fale przez pokład okrętu. Jej styl, jej ruch, tak naturalny i taktowny, ewoluował wraz z podróżą przez historię muzyki i tańca. Odtwarzała klasykę i eksperymentowała zarazem, modelowała gatunki jak plastelinę, a każdy krok i każdy rysowany w powietrzu gest dłoni były czystą perfekcją prowadzącą prosto do wielkiego finału. Tuż przed nim jednak żywioł się wypalił, ucichł, opuścił dziewczynę, a jej taniec przypominał wytarte wspomnienie. Choć w sercu młoda, w ruchach zdradzała tęsknotę przebrzmiałej gwiazdy, dla której fragment zamierzchłej, powłóczystej muzyki był niczym cierń utraconej z wiekiem estrady. A gdy wybuchem orkiestry żal został przekuty w złość, emocje zalały potopem jej ciało i eksplodowały wrzącą wodą, lecz zaraz wyparowały w płomieniach ognistej sukienki.

To z dziewczyny płynęła muzyka. To zarys pracujących mięśni tkął kolejne dźwięki, tak jakby ruch je wzniecał, a nie przywdziewał tylko. Była boginią, blaskiem budząc kolebkę życia. Tańczyła, niczym matka wszelkiego stworzenia, a jej suknia iskrzyła wstęgami słonecznych burz, aż nagle rozprysła się na wszystkie strony, rozsadzona pręsytem brzmień wielkiego finału. Niezwykle rzeczywiste płomienie zalały podłogę i pochłonęły meble, wynosząc dziewczynę ponad ziemię w rozpalonym na białe wirze powietrza. Coraz jaśniejsza, szybsza ognista topiel, w pogoni za muzyką rosła, puchła, wzbierała, ścigając rozpędzone do granicy absurdu piskliwe dźwięki skrzypiec. W końcu zastygła w przezroczystym lodzie i skruszyła się w drobnicę szklanych odłamków, upuszczając tancerkę niczym ścięty ostrzem kwiat. Rozgrzana własnym uśmiechem, znów była panią wiosny ubraną w najpiękniejsze ziemskie ogrody i odzianą materiałem niczym sedno stworzenia w rękach znudzonych wiecznością wyższych sił rządzących światem.

Niham płakał, jak dziecko wylewając z siebie wodospadem zakopane dawno temu pod grubą warstwą obojętności uczucia, a jego łzy przeplatały się ze śmiechem człowieka nietkniętego złem.

– Dziękuję! – wyrażała wdzięczność dziewczyna, zarumieniona i tak pięknie zdyszana. – Czy już wiesz, kim jestem? – zapytała z uśmiechem zdolnym roztopić lody nawarstwione eonami zimy.

Niham wiedział. Podświadomie, w głębi duszy, gdzieś na dnie serca wypełnionego koszmarami tysiąca dni i nocy walki z własną słabością, podejrzeniami, strachem, wątpliwościami, czuł, kim jest, czym jest, gdy tylko stanęła w progu drzwi, w aurze światła korytarza. To na nią czekał od lat, to ona miała być jego zbawieniem, to od niej zależały losy świata, to przez nią teraz głośno szlochał, nie wstydząc się tego ani odrobinę.

– Wiem, wiem! – łkał, niosąc słowa, jak dary wdzięczności, w jej stronę. – Wiem! – powtarzał, wybuchając hybrydą szczęścia i rozpacz, dopełniając efektu oczyszczenia, kompletnego katharsis. Rozpraszał go tylko ból złamanego przedramienia.

– Pomogę ci – zaproponowała dziewczyna i klękła przy fotelu Nihama, dłońmi wirując nad jego skurczoną ręką. Niczym czarnoksiężnik rzucała zaklęcia, gestami odprawiając magię, a jej skupiona na obrządku mina i cicho mrużane czary tylko dodawały słodkiego komizmu tej scenie.

– Co robisz?

– Ja? – zapytała ze smutkiem w oczach, mroząc w powietrzu wróżby. – Chciałam, żeby to wyglądało jak magiczna sztuczka, ale wcale nie musi – stwierdziła i opadła na podłogę. Złożyła po turecku nogi, pozwoliła sukni zasiać wokół siebie piękny ogród i na poręczy fotela skrzyżowała ręce, a na nich oparła podbródek. – Już – dodała z białym uśmiechem, jakże czarująco przechylając przy tym głowę w prawdziwym akcie iluzji, którym chwyciła byłego lidera za serce.

Jego wierny pies zwinął się w kłębek tuż obok i doszczętnie zakochany położył na udach dziewczyny pysk. Wpatrzony w otwarte okno i długie, jak pajęczyna przezroczyste, podrygujące na wietrze firany, marzył o wolności, głośno wciągając nosem zapach kwiatami pachnącej jej sukni.

Niham podniósł rękę, kilka razy zacisnął pięść i pokręcił nadgarstkiem. Ból ustąpił, a wraz z nim opuchlizna i wspomnienie okropnego doświadczenia.

– Potrafisz ulezczać? – zapytał, wycierając już zdrową dłonią łzy z policzków.

Dziewczyna przyznała się kocim pomrukiem i nawet na chwilę nie spuszczała go z oczu. Wciąż oparta o fotel, z brodą na złożonych dłoniach pożerała źrenicami każdy promień światła, jakby pierwszy raz w życiu korzystała z ludzkich zmysłów.

– Tak jak artefakt? – próbował zaspokoić ciekawość Niham, wywołując tylko lawinę jej zdrowego śmiechu. Dźwięczny blask wypełnił pokój, wyrrywając rozhasanego po zielonych łąkach psa z letargu.

– Przepraszam! – wiosenna dama wyrażała skruchę z niezdarnością niesfornej nastolatki, próbując utrzymać radość w ryzach. – Wybacz – błagała, składając z powrotem głowę na ramionach, dłońmi na krzyż przykrywając nagie, białe barki, a łokciami opierając się o poręcz fotela. Znow była spokojna i skupiona. – Przepraszam, nie bierz tego do siebie, dobrze? – poprosiła. – To po prostu zabawne. Wy wciąż myślicie, że to artefakt was ulecza.

– A nie?

– A próbowaliście odtworzyć jego działania w innym pomieszczeniu?

– Chcesz powiedzieć, że to nie artefakt ulecza? – pytał Niham, otwierając szeroko oczy. – Sala? – dodał z niedowierzaniem i parsknął śmiechem, widząc iskrzące w jej źrenicach rozbawienie. Rozumiał już absurd tej wieloletniej komicznej pomyłki. – Tak bardzo byliśmy skupieni na badaniu artefaktu, że nie uwzględniliśmy wpływu pomieszczenia. No jasne! – tłumaczył sobie, chwytając ostatnie na głowie włosy. – Taki banalny błąd, a przecież lecznicze właściwości artefaktu były głównym argumentem za tym, by go pozostawić na pokładzie. Musiałaś mieć z nas niezły ubaw – stwierdził i mruknął jeszcze echem rozbawienia, nie potrafiąc oderwać oczu od dziewczyny, która słuchała go niczym zakochana uczennica w szkole. Czuł się przy niej bezbronny, nagi, a zarazem bezpieczny, jakby wtulony w pierś matki, chroniony jej opiekuńczym spojrzeniem. Trochę zawstydzony, młodzieńczą miłością pobudzony, z nadzieją zapytał: – Aimeiz?

– Miło mi cię wreszcie poznać – oznajmiła dziewczyna słodkim, niczym miód, tembrem głosu o kojącym duszę rezonansie. Jednocześnie wyciągnęła dłoń na przywitanie. – Mam nadzieję, że cię nie przeraziłam.

– Nie, skądże – zaprzeczył Niham i jak podróżnik u wybrzeży nowego ładu, naukowiec u progu wielkiego odkrycia, przyjął jej gest i znow się rozplakał. Delikatny i blaskiem Słońca ciepły dotyk, na pograniczu sensualnej zwyczajności i sennych marzeń ulotności, elektrycznym impulsem odrodził w nim nadzieję na przetrwanie świata. – Dlaczego teraz? – chlipiąc zapytał, potwornie głodny głosu dziewczyny.

– Wreszcie zdołaliście złamać hasło głównego komputera, gratuluje! – oznajmiła Aimeiz i radośnie przyklasnęła. – Stwierdziłam więc, że to dobry moment.

– Po tylu latach... – z ust wysączył Niham, przekuwając łzy w uśmiechy i na odwrót, jakby smutek z radości płynął, a szczęście melancholią się żywiło. Wskoczył z fotela, duchem o dwadzieścia lat młodszy i podszedł do okna stworzonego czystą dziewczyny wolą. – Mogę? – zapytał i wystawił głowę na zewnątrz, gdzie białe chmury wędrowały po błękitnym niebie, a zielona, wysoka trawa napierała na drewniane bele małego domku, z którego Niham wyglądał na kwiatów pełną łąkę. Jej kres wyznaczał łańcuch śniegiem pokrytych gór.

– Możesz wyjść na zewnątrz, jeśli chcesz – zachęciła go Aimeiz. – Potrzebujesz drzwi? – zażartowała i zachichotała na widok posiwiąłego mężczyzny z bananem na twarzy wspinającego się po parapecie i płaczącego w firanie nogi, próbując przerzucić je na drugą stronę.

Z gracją słonia Niham zeskoczył na trawę i natychmiast wyrzwał kozła, krzywo stawiając stopę na podstawionym w oczywisty sposób przez Aimeiz kamieniu. Przeklinając ten w ogóle nieśmieszny żart, legł na plecach i bez opamiętania zakochał się w widoku wiszących nad nim długich włosów dziewczyny. Spijając iskrzący z nich blask słonecznych promieni, wybaczył jej złośliwe poczucie humoru, biorąc swój pierwszy w nowym życiu oddech.

– I ta świeżość powietrza! Jak to możliwe? – zapytał, mrużąc oczy i oglądając ją z perspektywy robaka.

– Nazywacie to rekreacją.

– Ale my nigdy nie zdołaliśmy ożywić tego świata! Byliśmy w stanie stworzyć tylko statyczne obrazy, martwe, a tu trawa kołysze się na wietrze. Nawet ptaki stworzyłaś! – Niham doceniał włożony w krajobraz wysiłek, podążając palcem za dwójką roztańczonych w powietrzu wronczyków.

– One akurat są prawdziwe. Pożyczyłam je z zoo, bo tak w sumie było łatwiej – tłumaczyła swoją zuchwałą kradzież Aimeiz. – No i właściwie to nie są wronczyki – dodała z rumieńcami na twarzy.

Niham błyskawicznie wyrósł z trawy, by skarcić ją podejrzliwym spojrzeniem.

– Czytasz mi w myślach? – zapytał.

– Ups – wymusnęło się dziewczynie ze wstydliwie przygryzionych zębami warg. – Nie powinnam?

– Myślę, że skoro robisz to od trzydziestu lat, to nie ma sensu teraz tego zmieniać.

– To twoja decyzja. Uszanuję ją.

– W tej kwestii jestem skłonny oddać ci wszystko w całości – przyrzekł Niham rozkojarzony pragnieniem, by dotknąć wysnutej z perfekcji twarzy dziewczyny. Odgarnął jej brązowe włosy, dłonią spływając w dół białej szyi, i nagle uszczypnął ją w policzek, jak niegrzeczne dziecko na powitanie. – Tego nie przewidziałas? – zapytał.

– Wiedziałam, że to zrobisz, zanim wyszliśmy z pokoju.

– No tak – mruknął Niham zawstydzony. – To co jeszcze potrafisz wykreować?

– Wszystko – Aimeiz odparła i otworzyła szeroko oczy.

– A gdybym chciał się wspiąć na te góry?

– To zamarzyłbyś u samego ich podnóża.

Niham parsknął śmiechem, bo rozumiał już szorstkość płynącą z poczucia humoru Aimeiz. Była niczym dziecko niedoświadczona w ludzkich kontaktach, ale milion razy od niego inteligentniejsza.

– Jest coś, czego nie potrafisz? – zapytał, szczerze ciekaw odpowiedzi, ale nie uzyskał jej, bo uwagę obojga odwrócił krążący wokół pies. Zwierzę dokładnie obstukało ogonem ich kolana i pognało w dal, jak z procy wystrzelone. – Roto! – zawołał Niham, ale jak zwykle nic tym nie działał. – Cholerne psisko, w ogóle się nie słucha – przeklinał, wstydliwą bezsilnością rozśmieszając dziewczynę.

Jednym palców pstryknięciem Aimeiz sprawiła, że pupil nagle wpadł pod ziemię i pojawił się tuż obok swego pana, tak samo jak on zaskoczony.

– Ta rekreacja zajmuje przestrzeń pokoju Mileny – powiedziała odrobinę speszona – a ona właśnie wraca z koncertu i widok gór za drzwiami może ją przerazić.

– Wracajmy więc – zaproponował Niham i spojrzał jeszcze za horyzont, ostatnim kadrem piękna nasycając duszę. Potem wdrapał się przez okno do swojego pokoju i uważnie spojrzał pod nogi, zanim zeskoczył z parapetu. – Czy inni już wiedzą? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała Aimeiz, witając go już w środku.

– A dlaczego ujawniłaś się najpierw mnie?

– Ze wszystkich na pokładzie najczęściej mnie wzywałeś. Poza tym nie chciałam, żebyś spanikował.

– Spanikował?

– Boisz się, że mogłabym zdradzić twoje tajemnice mieszkańcom.

Niham pobladł, jakby cała jego krew odpłynęła w strachu. Nie pomyślał o takiej możliwości, ale w głębi serca czuł, że w obliczu ich spotkania wszystkie zbrodnie zostaną rozliczone. W głowie zbierał argumenty na swoją obronę, rozumiejąc, że żadnym z nich nie ukryje poczucia okropnej winy, której toń dziewczyna była w stanie na wylot przeświecić. W obliczu nieuchronnej klęski, zdany w pełni na jej łaskę, napiął plecy, by z godnością przyjąć na pierś salwę konsekwencji.

– Przestań, nie mam zamiaru o nic cię oskarżać, a tym bardziej nikogo z niczego rozliczać – Aimeiz odpowiadała na jego rozpaczliwą próbę uformowania niemej linii obrony. – Po prostu wiem, że martwiłbyś się o swoje tajemnice. Zresztą nie tylko ty masz coś do ukrycia. Zdziwiłbyś się, jakie okropieństwa niektórzy w sobie noszą – wyznała i usiadła w jego drewnianym fotelu, jak ptak moszcząc sobie gniazdo. Uradowana wygodą, której nigdy wcześniej nie miała okazji doświadczyć, mówiła dalej, ignorując przemokniętą pokorą postać byłego lidera. – Chociaż, jakby inni odkryli, że jesteś w stałym kontakcie z Andersem... – na chwilę wstrzymała ciąg zdania, by rozważyć tryliony możliwych scenariuszy – jak sądzisz, co by zrobili? – zapytała.

– Ja... ja...

– Bez obaw, nic im nie powiem – obiecała Aimeiz i z obojętnością znudzonego dziecka tańczyła wyciągniętymi w powietrzu bosymi stopami, zbyt krótkimi, by dosięgnąć leżącego pod fotelem dywanu.

– Dziękuję – wymamrotał Niham i pokornie opuścił głowę w obliczu jej niewinnie wyglądającej sprawiedliwości. – Masz jednak rację. Jestem złym człowiekiem – dodał spienionym nienawiścią do siebie głosem.

– Nie mnie to osądzać, mój drogi Nihamie. Myślę jednak, że nie powinieneś się tak tym przejmować.

– Chcesz powiedzieć, że moje występki nie mają znaczenia?

– Oczywiście, że mają – stwierdziła dziewczyna, w mgnieniu oka poważniejąc. – Jesteś mordercą – rzekła tonem sądu ostatecznego, ścinając Nihama jego własną skruchą. Teraz on klęczał u jej boku, płacząc i składając głowę na poręczy fotela w ofierze, gotowy przyjąć każdy wymiar kary. – I nie mówię o ofiarach waszego niecnego planu – kontynuowała proces Aimeiz – ale o morderstwach, jakich się osobiście dopuściłeś.

– Jeśli wiesz wszystko, to wiesz też, dlaczego to zrobiłem! – szlochał Niham i podnosił co chwilę wzrok, lecz zaraz znów opuszczał głowę. Dziewczyna spojrzeniem prześwietlała najskrytsze jego myśli, wyłuskane z wszelkich interpretacji i na tacy pod osąd wyłożone. – Nie jestem z tego dumny, nie chciałem tego robić, ale to była chwila, nie mogłem pozwolić, żeby poznali prawdę – tłumaczył się przed uosobieniem sprawiedliwości.

Ona milczała wpatrzona w niebieską źrenicę Nihama, jak gdyby brąz drugiej nie był jej kolorem.

– Zmąciłeś błękit swego oka – z melancholią zagrzmiała. – Twoje czyny są twoim ciężarem, a rozliczyć mogą je tylko twoi rówieśnicy – orzekła wzniosłym głosem, niczym na czytaniu długo wyczekiwanego werdyktu. Potem poklepała go otwartą dłonią po czubku głowy, a gdy ten podniósł załzawione oczy, wyszczerzyła białe zęby i wzięła w szczypce palców jego policzki, słodko sobie rekompensując wcześniejszą złośliwość. – No już, nie płacz – kąśliwie dodała.

Wciąż dźwigając w sercu kaganiec grzechu, ale przynajmniej z odroczonego wyrokiem, Niham uśmiechnął się wdzięcznie, w myślach jej dziękując.

– Co zamierzasz z nami zrobić? – zmienił temat gotowy stanąć w obronie zebranej na pokładzie społeczności. – Gościsz już sto piętnaście tysięcy ludzi.

– A co chciałbyś, żebym z wami zrobiła?

– No nie wiem – odparł Niham zaskoczony pytaniem. – Bylibyśmy wdzięczni, gdybyś pozwoliła nam zostać – nieśmiało zaproponował.

– Hmm – głośno rozmyślała Aimeiz. – Hmmm... – przeciągała odpowiedź, niczym starożytny filozof głaszcząc się po brodzie. Pochylała na boki głowę, by przelewać płynną esencję argumentów od ucha do ucha i w ten sposób skrupulatnie wyważała wszystkie za i przeciw. – Jak dla mnie, to możecie tu zostać – nagle stwierdziła, obojętnie wzruszając ramionami. – Lubię was – dodała i rozwiąła chmurę strachu wokół serca Nihama.

– Lubisz?

– Lubię.

– A za co?

– A tak, po prostu – stwierdziła dziewczyna. – Ja wszystkich lubię.

– Nie masz żadnych argumentów, mądrości, wskazówek? – zapytał ciut onieśmielony Niham. – Wiesz, nie żebym krytykował cię, ale sądziłem, że skoro dysponujesz o wiele większą od nas wiedzą i doświadczeniem, i...

– Pijcie więcej wody – z pełną powagą wtrąciła Aimeiz – a wszystko będzie dobrze.

– Co?

– Nico – powiedziała i jak motyl zerwała się z fotela, niesiona niewidzialnym zawirowaniem wiatru. Wiosennym, grawitacji nieposłusznym krokiem, podeszła do zniszczonego biurka i palcem delikatnie przesunęła po blacie wzdłuż jego pęknięcia. – To piękne, jak martwe przedmioty zapamiętują ludzką historię. Sesana zmusiła cię, żebyś wyrzucił poplamioną winem sofę, ale biurko zatrzymałeś. I ten biedny zmaltretowany kubek z nikomu nieznanym odniesieniem! – zawołała, biorąc go delikatnie w dłoń.

– A tam zaraz nikomu – protestował Niham. – Jakoś nie potrafię się ich pozbyć – tłumaczył, z trudem powstrzymując w ustach niesione zwyczajem kłamstwo, którym od lat odpowiadał na pytania związane z tą materią. Niestety ułatwiający życie właściwości zakrzywiających fakty uproszczeń nie miały przy Aimeiz większego sensu. – To pamiątka – dodał i wyprostował zmęczone klęceniem kolana.

– Wciąż za nią tęsknisz – delikatnym głosem rzekła dziewczyna, dłońmi wyczytując nostalgię płynącą z poszczerbionego doświadczeniem przedmiotu. – Wiele dałbyś, by móc do niej wrócić, zmienić bieg historii i uniknąć błędów – mówiła, opuszkami palców badając naczynie, jakby to z niego płynęły jej prorocze słowa. – Ale plan był ważniejszy – dodała.

– Przestań – zażądał Niham i wyrwał dziewczynie kubek. Odstawił go na blat biurka poparzony ogniem związanych z nim wspomnień.

– Wiesz, że mogłabym ją dla ciebie odtworzyć?

– Nie!

– Ty wciąż myślisz, że zginęła przez ciebie?

– Wyjdź z mojej głowy! – zawył Niham i chwycił dziewczynę za barki, przypierając do biurka.

– Uważaj, bo znów zbijesz kubek – powiedziała Aimeiz tak spokojnie i naturalnie, jakby w ogóle jej tu nie było.

Ta zwykła uwaga zerwała nakręcającą się nić szafu Nihama. Puścił ją zawstydzony agresją swoich rąk, które w powietrzu wibrowały niczym dwa rozżarzone narzędzia tortur. Wybudzony z koszmaru zaczął przeproszać i łkać, gotowy spłonąć w ogniu odrazy do siebie samego.

– To ja przepraszam – przyznała z równą mu skruchą Aimeiz. – Nie powinnam eksperymentować z twoimi uczuciami, zwłaszcza gdy jesteś tak niestabilny emocjonalnie. Chyba za krótko jestem człowiekiem – stwierdziła, uśmiechem kojąc nieporozumienie.

– No tak – mruknął Niham i ucichł, przyglądając się twarzy dziewczyny, która przecież była obcą istotą, maszyną, potężnym okrętem. – Faktycznie, nie jesteś człowiekiem – przyznał, jakby dopiero teraz to zrozumiał.

– Zawaliłam sprawę, co?

– Nie, nie, wręcz przeciwnie. Idzie ci lepiej niż mnie.

– Nie kłam, proszę.

– Przecież wiesz, co myślę – powiedział Niham i popukał w swoją skroń, zapraszając ją do środka.

– Dziękuję – powiedziała dziewczyna. – Uważasz, że mogłabym odrobinę spoważnieć. Niech tak będzie – dodała i na chwilę zastygła, zamykając oczy, by zaraz je otworzyć już w nowej odsłonie. Były odlane z płynnego brązu, ciepłe, szlachetne i jak jej włosy błyszczące. Wciąż młoda i przepiękna, nadal w kwiaty odziana, z uśmiechem na twarzy, lecz o dwa lata starsza, Aimeiz niepostrzeżenia z nastolatki stała się kobietą. – To dobrze, że odwiedziłam najpierw ciebie – stwierdziła głosem, który delikatnie drgał szarpnięciami strun wszechświata.

– Jesteś doskonała – oświadczył nieświadomie i bezwiednie Niham, jakby fakt ten wpływał nie ze zmysłowych spostrzeżeń, a z nieomyślnej natury rzeczy. W jego oczach znów zaszklily łzy. – To co teraz? – zapytał gotów skoczyć w ogień na jedno jej skinienie.

– Chciałabym, żeby moja obecność nie wpłynęła na obraną przez was drogę. Szczerze mówiąc, długo myślałam, czy w ogóle powinnam się wam objawić. Domyślam się, że to będzie dla was kłopotliwe.

– W ogóle.

– A jednak. To może dużo zmienić – przyznała ze skromnym uśmiechem. – Wiem, że to zabrzmiało zabawnie, ale ja naprawdę chciałam zobaczyć, jak to jest być jedną z was. Myślisz, że mieszkańcy wybaczą mi tę słabość? – zapytała z nadzieją.

– Myślę, że nikt nie będzie miał nic przeciwko.

– Obiecuję, że nadal będę was bronić i leczyć – oznajmiła dziewczyna i podniosła dwa palce w górę na znak przysięgi, którą Niham mógł potraktować już zupełnie poważnie.

– A czy powiesz nam coś o Knossos?

– Tylko tyle, że wasz plan nie miał zbyt wielkich szans na powodzenie.

– Czyli wszystko na nic? Tyle osób zginęło i nie ma to żadnego znaczenia?

– Jeśli zrobiłeś to z miłości do ludzi i do niej, to nie powinieneś nosić w sobie winy – pocieszała go Aimeiz. Próbowała uchronić rozkołysany na wzburzonych wodach rozpaczony statek kruszącej się psychiki byłego lidera.

– Chciałem ich ocalić, chciałem, wiesz to przecież – powiedział Niham, łzami potwierdzając intencje – a Lumen kochałem. Była mi tą jedyną nieosiągalną miłością, czystą i wyidealizowaną. Może, jakbyśmy spędzili więcej lat ze sobą, pewnie stwierdziłbym, że to nic wielkiego. To śmieszne, ale wierzyłem, że prawdziwa miłość istnieje, a mimo to posłałem ją na śmierć, a potem jej córkę, a teraz cały świat – zakończył, łamiąc głos i serce w pół. Zaciśnął zęby, jakby chciał nimi zmiażdżyć własną słabość. Całym ciałem drżał w potrzasku toczony w walce, w której upadek był mu pełnomocnym wyrokiem pisany, a gdy czuł już kres sił i przepaść pod sobą, dziewczyna otoczyła go nadziei obecnością. Mógł odpocząć, wtulony w białe jej ramię, i bliskością zgasić toczące umysł koszmary.

– Zdradzę ci, że ty i Anders nie byliście jedynymi ludźmi, którzy chcieli ocalić świat.
– Czy oni też zawiedli?
– Jeszcze tego nie wiem – odparła dziewczyna, pozwalając mu wsiąknąć w siebie, jak deszcz w suchą ziemię. – Dlaczego nie powiesz im o Tasajewie? – zapytała, urzekając go przyjemnym szumem swojego głosu.
– Myślisz, że powinienem?
– Myślę, że mieszkańcy powinni wiedzieć, że na Ziemi są wciąż ludzie, którzy potrzebują ich pomocy.
– A czy teoria Stavrosa ma szansę? Możemy odwrócić działanie artefaktu?
– Na to pytanie nie mogę ci odpowiedzieć – wyszeptała Aimeiz, ale on już nie słuchał. Wtopiony w suknię dziewczyny, podróżował w dół jej istnienia do esencji zjednoczenia, porzucając wszelkie zmartwienia, własną wolę i duszy odrębność, by na zawsze zaznać spokoju zrodzonego z zatracenia indywidualnej świadomości. Pokochał ją miłością niefizyczną, niezwiązaną z żadnymi żądzami, utopijną.
– Pachniesz jak ona – wyznał rozkoszą odurzony.
– Już czas – zdecydowała Aimeiz. – Gotowy? – okrucieństwem głosu zapytała i z błędnego półświatła delikatnym dotykiem go ocuciła.
Spod ciepłej kołdry na mróz wyrzucony, znów samotny przeciw światu, Niham przetarł oczy i na chwilę schował w dłoniach twarz.
– Gotowy – powiedział i podniósł dumnie wzrok, by jak dżentelmen poprowadzić swoją panią do drzwi i dalej korytarzem w stronę głównej sali, gdzie trwały najważniejsze Panele.
– Myślisz, że mnie zaakceptują? – zapytała dziewczyna, eskortowana pod rękę przez byłego lidera.
– Bezwarunkowo.
– Chciałabym od razu poprosić ich o pracę, to dobry moment?
– Pracę?! – wykrzyczał Niham i stanął jak na minie, skupiając spojrzenia zdziwionych przechodniów. Gdy odzyskał przejrzystość zmysłów, parsknął śmiechem zdolnym skruszyć betonowe mury. – Pracę? Pracę? – powtarzał do łez rozbawiony.
– Przestań! – poprosiła Aimeiz oburzona i zawstydzona. – Chciałabym zostać nauczycielką i uczyć najmłodszych. To nie jest śmieszne! – Próbowała przebić się przez salwy jego deprecjonującego rechotu. – Co w tym takiego dziwnego? Jeśli mam żyć jak wy...
– Przepraszam, przepraszam! Ja po prostu... – chciał dokończyć zdanie Niham, ale niczym uporeczywa czkawka śmiech powracał ze zdwojoną siłą. Był pijany nadmiarem emocji, których rozstrzelone skrajności zdążył kilka razy dziś już odwiedzić.
– Chodźmy – zarządziła Aimeiz i chwyciła go pod ramię.
– Może pojedziemy windą? – zaproponował Niham. – Jechałaś już samą sobą? – złośliwie zażartował, eksplodując świeżą salwą histerycznego śmiechu.
– I kto tu jest niedojrzały – skwitowała dziewczyna i mruknęła rozkosznie pod nosem. – Samą sobą, dobre.